

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Jerzy Bazarewski,
Wacław Berent, Władysław
Broniewski, Kamil
Dziewanowski, Leon
Koszniński, Felicja Lilpop-
Krancowa, Stanisław
Stroński

Vol. 2 Nr. 21 (73)

Nowy Jork, 21 maja — New York, 21, N. Y., May 21st, 1944

Cena 15 ct.



PEJZAŻ Z KIELECKIEGO

BURLESKA I RZECZY POWAŻNE

W chwili, gdy piszemy te słowa plotka miljonogębna tworzy niezliczone warjanty propozycji, które rzekomo proboszcz Orlemański miał przywieźć od Stalina, a które ułatwią jakoby zakończenie sporu polsko-sowieckiego. Podawane są z chytłych do naiwnych ust różne uprzejmości, które wódz czerwonego faszystwu miał wypowiedzieć pod adresem Pana Boga i religji. Proboszcz ze Springfield oblegany przez reporterów niczem sam Sinatra niczego niby nie potwierdzał ale kokieteryjnym gestem trzymał się za kieszeń, w której ponoć znajduje się bezcenny dokument z podpisem samego czerwonego cara. Chytry i bezdennie naiwni szepcą: "oddadł Lwów i Wilno, żąda TYLKO żeby Raczkiewicz i Sosnkowski ustąpili. Sprawa wypali w samą wilję Kongresu w Buffalo, który w tych warunkach straci całą swoją ostrość. Za parę tygodni spór polsko-rosyjski będzie należał do przeszłości".

Jak słusznie pod pierwszym wrażeniem wymknięcia się proboszcza Orlemańskiego z jego plebanji na Kreml powiedział Msgr. Ready cała afera tej niebywałej podróży jest "polityczną burleską"; to też naturalnym jej zakończeniem byłoby aby władze kościelne kazały zdjąć proboszczowi Orlemańskiemu sukienkę. Przeszliśmy doprawdy poza wszelkie granice zdrowego rozsądku, poczucia rzeczywistości w polityce, jeżeli podróże tego rodzaju groteskowych osobistości robią światowe zamieszanie, są używane jako narzędzia historycznych zamysłów. Nie chcemy też uwierzyć w to, o czym szeroko się mówi, że ambasador Harriman i pan Stetinius w jakikolwiek sposób łączą swe wystąpienia z ową "burleską" nabijania Orlemańskiego w butelkę przez Stalina; świadomie używamy tego gwarowego wyrażenia, aby podkreślić w jakiej sferze zjawisk rzecz się odbywa.

Niestety. Trzeba to przyznać ze wstydem, Stalin pozwala sobie na grę tak grubą, ponieważ jest przekonany, że wszystko mu się uda, że niema tak ordynarnego politycznego kawału, zrobionego przez niego aljantom, któryby nie był brany na serjo, o którym prasa nie rozpisywałaby się najpoważniej. Jakikolwiek będzie ostateczny rezultat komicznej eskapady plebana z Massachusetts, zamieszanie jakie ona przez chwilę wywołała w całym świecie, mogłoby być zachętą dla Stalina do dalszych w tym samym stylu pociągnięć.

Wierzmy w to, że to pociągnięcie będzie z polskiej strony ocenione jak należy. Mamy prawo spodziewać się, że w chwili gdy Stalin zapuszcza tak grubą wędkę, z tak ordynarnym hakiem, aby złowić na nią naiwnych Polaków a ma on wszelkie prawo na podstawie doświadczeń przeszłości uważać wielu Polaków za naiwnych — nikt z Polaków nie ułatwi mu jego roboty i że jeżeli nie staropolskie to w każdym razie arcywarszawskie

"perskie oko" będzie odpowiedzią na jego rzekome propozycje. Z doskonałego wywiadu, który właśnie został ogłoszony widzimy, że pan Mikołajczyk ocenia należycie rzeczywisty stan rzeczy w sprawie polsko-rosyjskiej, który jest w tej chwili najwyraźniej taki, że na skutek oporu rządu polskiego i stanowiska Polonji Amerykańskiej Stalin musi udawać, iż coś nam ustąpi; oczywiście liczy on na to, że nabierze nas i aljantów, ale udawać musi. Dzieje się to tylko dlatego, że rząd polski opiera się jego żądaniom i dopiero od chwili, kiedy Stalin powziął przeświadczenie, że pan Mikołajczyk mu nie ulegnie.

Afera Orlemańskiego przy całej swej groteskowości ma ważny aspekt polityczny i niesie niezwykle cenną naukę. Stalin nie jest bynajmniej tak silny, aby mógł sobie pozwolić na zagarnięcie połowy Polski bez abdykacji polskiej, bez zgody prawowitego rządu polskiego. Gdyby nawet okazało się prawdą, że narazie oddaje on Lwów i Drohobycz w zamian za wprowadzenie swoich koni trojańskich do rządu byłoby to tylko potwierdzeniem, że chce tego podpisu za wszelką cenę, nawet za cenę chwilowej abdykacji ze swoich pozornie najistotniejszych celów. Stalin przeprowadził cały szereg operacji w tym samym stylu i liczy na to, że zainstalowawszy Andrzeja Witosa, czy może Artura Szyka w rządzie i złamawszy przez to ten rząd moralnie w stosownej chwili zrobi co chce i po cichu jak to zrobił na Litwie dopnie swego to znaczy się uzyska ową upragnioną abdykację. Wywiad pana Mikołajczyka jest naszym zdaniem najsilniejszym i najbardziej politycznym jak dotąd oświadczeniem rządu polskiego, które powinno Stalina przekonać, że tym razem rzecz mu się nie uda. Z drugiej strony jednak przyznać musimy, że jak dotychczas Stalin grał doskonale i nietylko aljantów, nie mających zielonego wyobrażenia o ważności sprawy polskiej, ale samychże Polaków zapchał w sytuację przez siebie wymarzoną, ustawicznej defenzywy, w której to że nie zabierze Wilna i Lwowa uchodzi za jego łaskę, dowód jego wspaniałomyślności, to że nie zagarnie polskiej ziemi przedstawiane jest jako podarunek wymagający odpłaty.

Marzący jak o nieziszczalnym szczęściu, o odzyskaniu tego co się nam według wszelkich praw należy, spotwarzeni przez rzekomego aljanta, któremu prawdziwi w tem nie przeszkadzają, nie zdajemy już sobie nawet sprawy, że Stalin tak nami manewruje, aby móc nam rzekomo ustępować, nie zrzekając się żadnego ze swych istotnych celów.

Wilno i Lwów jak to było stokrotnie powiedziane nie mają żadnej prawdziwej dla Stalina wartości. Zagarnięcie wschodniej Polski jest dla Rosji jedynie środkiem do zniszczenia Polski całej, niezbędnego etapu w zawładnięciu połowy Europy.

Ale kto patrzy dalej, ten rozumie, że nawet cała Polska, nawet poszerzona na Zachodzie, jeśli znajdzie się znów sama między Niemcami i Rosją będzie w każdej chwili po zawarciu pokoju w tej samej co pięć lat temu sytuacji.

Jedyna prawdziwa obrona przeciw Rosji, jedyna zapora przeciw jej agresji jest to silna, bardzo ścisła Federacja środkowej Europy przeciw Niemcom skierowana, sprzymierzona z Rosją, ale mogąca z nią mówić na prawach równości. Podejmujemy się z datami w rękę dowieść, że prawdziwy atak Rosji na Polskę zaczął się w chwili, gdy nasz rząd przerażony tem co się dzieje chciał naprawdę coś zrobić dla zbudowania tej federacji.

Sprawa Wilna i Lwowa jest tylko jedną z tych dymnych zastón, poza któremi Stalin ukrywa swoje

dalsze naprawdę istotne cele: rozczłonkowanie i poddanie się Wschodniej i Środkowej Europy.

Wszelkie zmiany w rządzie polskim przez wprowadzenie do niego agentów sowieckich, którzy nawet najmniejszej części narodu polskiego nie przedstawiają są etapem niezbędnym dla Stalina, aby te cele osiągnąć. I dlatego także nietylko ze względów suwerenności polskiej o takich zmianach nawet myśleć nam nie wolno.

Pozwoliliśmy się już oślepić Stalinowi dymem z jego zastón i straciliśmy bezcenną okazję, kiedy można było realizować nasze prawdziwe dalekowszroczne cele. Oby oświadczenie pana Mikołajczyka było zapowiedzią, że rząd nasz odtąd będzie się bronił, atakując. Jest to jedyna droga aby się naprawdę obronić.

*
* *
*

Skąpo narazie dochodzące nas wieści mówią o świetnym udziale Polskiego Drugiego Korpusu w rozpoczętej właśnie ofensywie we Włoszech.

Jak zawsze, jak pod Sommo-Sierrą, pod Rokitną, pod Galezą, Polacy są tam gdzie najtrudniej, gdzie inni utrzymać się nie mogą. Krew polska leje się znów obficie "za naszą i waszą wolność".

W tej chwili wszystkie serca polskie są z naszym żołnierzem, wszystkie myśli nasze mu towarzyszą, wszyscy na całym świecie Polacy skupiają się w pragnieniu aby nasz Drugi Korpus spełnił jaknajzaszczytniej swe zadanie i aby z jak najmniejszymi stratami wyszedł z tej ofensywy.

Te myśli, te uczucia przesyłały naszym drogim żołnierzom i ich dowódcom na front ich chlubnej walki.



WACŁAW BERENT

DĄBROWSKI W RZYMIE

W siódmą rocznicę konstytucji 3 maja wstępowały legjony na "kapitolijną górę".

— Na której przez tyle wieków sława błyszczała — zwracał się Dąbrowski do szeregów swoich, wskazując im z konia na wynurzające się kolejno to Palatynu gruzy nieobjęte, to rum przeogromny Colosseum, to rzeźbami jeszcze żywe łuki Trajana i Konstantyna.

Pada w końcu to krótkie słowo: Forum!

Duchem zbiegli się w jedno miejsce oficerowie. Ta młodzież przejęta "głodem starożytnictwa" widzi oto tam, na dole obumarły chaos złomów pgruchotanych — bogów i wieków cmentarzysk, ziejące stąd na świat cały. W szkołach wszędy go przecie uczą, w Paryżu do życia teraz wskrzeszają. Każdy czyn wielki — myślą młodzi — jaki rodzi się dziś na świecie, u tego wszak grobu wylęga się myślamy: — co to jest wola i moc człeczka? co wielkość? co potęga?...

Nad pożółkłym gruzem świątyń powietrze samo wibrować poczyna tych młodych serc biciem — tak się zadumali w ciszy. Ledwie ockną ich nieco pobrzęki broni. Teraz dopiero postrzegą, że tuż za ich plecami przystanąły po niewoli szeregi, również zapatrzone w tę starodawność dziwną. Szczęka wciąż oręż pod sapliwie oddechy — "kohort", myślą w tej chwili setnicy, co pytać się zdają: "Dokąd nas wiedziecie, oficerowie polscy?!..."

Coś tam wskrzesza zwidem oczu młodych i podejmuje się ku nim z tych ruin: jak widma tego polowiska dziejów, wyłaniają się na okoku kolumny nie strawione czasem.

— Niech to tchnienie chwały — kończy wódz — wraz z miłością kraju w sercach naszych pozostanie na zawsze.

Ludność Rzymu, stateczniejsza od tamtej na północy włoskiej, nie wlepiła w nich świdrowatych oczu

nieufnie, baczyła godnie, nieco z góry, acz z nietajonym zdumieniem na obliczach. Od pstrych mundurów polskich wionęło Wschodem na Rzym wyniosły. A gdy kroczyła na czele tego wojska jego banda, czyli srogobarwna kapela, z okrutnie mosiężnym łoskotem uderzyła hucznie — choć nieco fałszywie — w poskoczne takty "mazurka" legionów, rozjaśniały uśmiechem poślania rzymian sępie twarze.

Ciżby na ulicach zwiędziały się wnet od przelicznie rojnych tu księży, że temu wojsku obcemu towarzyszą kapelani, acz ukryci strojem przed oczami "bezbożnych" Francuzów. Innego więc ducha lud zbrojny zajmuje teraz Rzym.

Nazajutrz ujrano żołnierzy polskich leżących krzyżem, z karabinem pobok, nie tylko przed schodami Świętego Piotra, lecz i przed środkową "Iglia" na olbrzymim placu: przed obeliskiem egipskim, a ówdzie nawet przed tym pogańskim symbolem płodności: przed wielką szyszką — niegdyś z grobowca Hadriana. Prostotliwa jest wiadać wiara tego ludu — myśleli rzymianie — lepsza zapowiada się z nimi zgoda niżli z Francuzami. — ("Ta nabożność naszych — wtrąca nawiasowo jeden z pamiętnikarzy — uchroniła nas może najbardziej od sztyletów").

Nawiało w uszy tłumów, że lud ten obcy pogromiono gdzieś na wschodzie, więc błąka się odtąd po świecie, sam nie wie dokąd. Zapadły te gadki w mroczne zaułki Transtevere i dojrzewały w gawędach. Aż się z nich wyłoniła baśń — że oto naszły na miasto potomki

TRZECI FRONT TO
SPRZEDAŻ BONDÓW
WOJENNYCH.
KUPUJ BONDY!

TYGODNIK POLSKI

is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at

806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly \$3.50 Yearly \$7.00

Application for second class
entry is pending.

rycerzy ostatniej wyprawy krzyżowej, co ponownie "pogromieni od Mongołów", pragną tu w Rzymie obwołać krucjatę nową.

Te baśnie "mottochu" (jak replikowali niestusznie urażeni legjoniści) nie były tak bardzo chybione. Lud rzymski wyczuł — pierwszyszy! — tchnienie romantyzmu, bijące wręcz od legionów czyniąc z nich nieledwie ostatnich rycerzy błędnych. Pod ruinami antycznego Rzymu drzemiący wciąż w wyobraźni mottochu średniowieczny Rzym czarodziejski osnuł i tych zbrojnych pątników polskich swoją legendą i mitem.

Dawa Dąbrowski rozkazy z Kapitolu nie tylko wojsku swemu. "Wiecznego miasta gospodarz" przed Napoleonem, wyprzedzał go również pierwszą inicjatywą porządku, ochędóstwa i oświelenia ulic w zapuszczonej wtedy stolicy papieży. Tych uzdolnień nie miał generał sposobności okazać potem w kraju; był wszakże u jego boku

— kmu się przyda ta nauka w' darstwa miastem: przyszły a bardzo sprawny prezydent Warszawy za Królestwa, w czasach jej najgorliwszej rozbudowy przez Staszica (przyszły tegoż Królestwa administrator naczelny, Zajączek, stanie się po roku niespełna od wkroczenia legii do Rzymu gubernatorem paru prowincji Egipetu).

Tak wszechstronna była ta szkoła wojenna, jaką przechodziło to pokolenie.

STANISŁAW STROŃSKI

A CO PO DRODZE?

Podano tu pierwsze wiadomości o zamierzonym rozmieszczeniu wojsk sprzymierzonych w przeprowadzaniu okupacji Niemiec, gdy ta chwila nadejdzie:

“Zachodnia granica strefy okupacyjnej rosyjskiej — donosi *The Observer* nr. 7974 ma być naogół wzdłuż prostokąta utworzonego przez Dunaj i przedłużenie obszaru dolnej Odry ku południowi. Bawaria, Saksonja i Witembergja znajdują się pod wyłączną okupacją wojsk Stanów Zjednoczonych Ameryki. Niemcy Zachodnie i Północne będą okupowane wyłącznie przez siły brytyjskie. Berlin zaś będzie okupowany łącznie przez siły trzech Mocarstw.”

Wiadomość ta, której ogłoszenia

nie zakazano, może być całkiem dokładna, lub całkiem niedokładna. Nie w tem rzecz. Jakieś rozmieszczenie sił sprzymierzonych celem okupacji będzie istniało, a ponieważ nie jest to prawdopodobne, by np. siły rosyjskie, które przyjdą od wschodu, przechodziły na zachód Niemiec, a siły brytyjskie i amerykańskie, które przyjdą od zachodu, szły na wschód Niemiec, więc będzie to wyglądało tak czy owak dość podobnie. A przeto nie takie czy inne rozmieszczenie jest najbardziej uzasadnione.

Dla krajów narodów sprzymierzonych w Europie, obecnie okupowanych przez Niemcy, główne pytanie jest inne.

Aby dostać się do Niemiec i okupo-

wać je, trzeba od zachodu przejść przez Holandję, Belgję i Francję, a od wschodu przez Polskę, więc nasze główne pytanie jest także:

— A co będzie się działo w krajach położonych na drodze ku Niemcom?

Na Zachodzie odpowiedź mogłaby brzmieć już dzisiaj: **Im Westen Nichts Neues.**

Gdy wojska brytyjskie i amerykańskie, z którymi będzie też trochę innych sprzymierzonych, przechodzić będą i przejdą przez Francję, Belgję, Holandję, Luksemburg, przekażą jak najrychlej tyle władzy i zarządu, ile można w czasie wojny, Rządowi tych krajów znajdującym się obecnie na wychodźstwie w gronie Narodów Zjednoczonych. Wynika to jasno także z ostatniej wielkiej mowy p. Coraell-Hulla z 9 kwietnia 1944. Nawet we Włoszech, które były po stronie wrogiej, pozostawiono u władzy rząd marszałka Badoglio pod zwierzchnictwem Króla i pozostawia się samemu narodowi włoskiemu wszelkie przeobrażenia.

Nie tak samo zapowiada się to od wschodu, gdzie zmiana nadchodzi pod znakiem: **Ex Oriente Lux.**

Brak jest jakichkolwiek znaków na niebie i na ziemi, by istniało zapewnienie, że Rosja będzie postępowała w Polsce tak samo jak W. Brytanja i St. Zj. Ameryki we Francji, Belgji, Holandji i Luksemburgu. Nie widać, by Rząd Polski, stojący od początku wojny po stronie Sprzymierzonych, a zarazem działający tak ściśle na podstawach prawnych Konstytucji jak żaden inny Rząd wychodźczy, miał wrócić do swych uprawnionych działań w kraju równie szybko i pewnie. Przeciwnie, stanowisko Rosji wobec Rządu Rzpltej wyraziło się w zerwaniu stosunków dyplomatycznych w nazbyt już widocznych zapowiedziach polityki nieuznawania tego Rządu.

A jednak sprawa Polski w obozie Narodów Zjednoczonych, to nie jest sprawa Rosji. To również, i nawet więcej, sprawa Wielkiej Brytanji, z którą od pierwszej chwili Polska jest ramię przy ramieniu przeciw Niemcom. To także sprawa St. Zj. Ameryki, które również od pierwszej chwili po najeździe niemieckim zajęły w sprawie Polski stanowisko zgodne ze swem naczelnymi zasadami politycznymi. Sprawa Polski jest wspólną i jedną z naczelnych spraw wszystkich Narodów Zjednoczonych i, jak powiedział śp. Kardynał Hinsley, jest kamieniem probierczym.



Nasi wodzowie: Gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, dowódca 1go korpusu armji.

JERZY BAZAREWSKI

I R E N Y

Pamiętam jak dziś, w zimie czterdziestego roku, trafiłem do karceru za "agitację" przeprowadzoną przeciwko zbyt pachnącej zupie. Po kilku godzinach siedzenia, usłyszałem głos kobiety, starającej się nieporadną rosyjszczyzną wytłumaczyć kałmykowi, który chodził po wąskim korytarzyku, że trudno stać wiecznie po kostki w wodzie. W celce, vis a vis mojej siedziąca dziewczyna. Ponieważ nie zajmowano nam niczem czasu, nie musieliśmy bowiem nawet jeść, rozmawialiśmy tak często jak tylko było to możliwe. Panna Irena była baranowicką maturzystką i do siedemnastego września trzydziestego dziewiątego roku, nigdy w życiu nie miała z więzieniem nic wspólnego. Ale złożyła się. Siedzieliśmy dwa dni, poczem Irena wróciła do celi, a ja miałem możliwość dalej rozmyślać nad drogami wrześniowych wiatrów, które zawadziły o tysiące Iren, aby zaprowadzić do więzień i przed osiemnastolatnie oczy położyć bardzo trudne życie.

Dziś, wspominając tę historię przypominam wiele innych, tematycznie podobnych do powyższej. Przypominam długie, czerwone wagony którymi Polska leżąca na wschód od linii Curzona, jechała na srogie w treści lekcje poglądowe o białych i czerwonych niedźwiedziach. Wśród pasażerów ciepłuszek i pięćdziesięciotomowych pullmanów, duży odsetek stanowiły dziewczęta; małe i duże, ładne i brzydkie, niebieskookie i z mysiemi wankoczykami, różne urodą i rozumem, jednakowe sercem i narodowością, różne w ukrywanym dziewczęcym płaczu, jednakowe w twardym pogardliwym spojrzeniu rzucanym na sztyki i czerwone gwiazdy za kratami wagonu.

Irena z baranowickiego karceru należy do tych wielu tysięcy. Wyrwana z domu, ze szkoły, poszła polska Irena na wszystkie dole i niedole, za to że było zwykłą polską dziewczyną i nie umiała powiedzieć w czasie koszmarnych nocnych śledztw; tak. To słowo zachowała Irena na później, na o wiele później, na dzień który przyszedł po latach, na dzień — jakiego aby doczekać, trzeba było bardzo długo i z największym na jaki człowieka stać uporem mówić: nie.

Po wywiezieniu z Polski, dziewczęta trafiły znowu do więzień, albo dla odmiany do obozów, mnie zagnano do syberyjskich, uralskich kazachskich, potwornych kołchozów. A wszędzie powiedziano: zapomnijcie o

waszej Polsce, zabierzcie się do pracy, stańcie się...

Żyły Ireny wśród śniegów i mrozów. Te w obozach, o świcie wychodziły aby walczyć z odwiecznymi lasami i rozbijać przy budowie dróg i kanałów zmarzniętą ziemię. W kołchozach i posesiolkach na ręce i całą siłę Iren czekały codziennie pola i kopalnie a nie rzadko żebra wołów któremi trzeba było orać niezmiernie połacie cudzej ziemi.

Odległe to czasy i wspominamy je z trudem, przecież, dla pełni prawdy, dziś już historycznej, należało o epoce niewoli Iren dwa słowa powiedzieć.

mężczyźnie wiary; takie były. W czasie podróży do wojska, jechałem kilka dni w ścisłym kontakcie z Irenami. Wśród stuku kół o szyny całymi nocami mówiliśmy na tysiące tematów. Często nie mogłem się w skrytości ducha nadziwić, skąd u tych dziewcząt bierze się ta niepojęta siła. Jechały przecież z kołchozów i posesiolków, miały za sobą dwa lata ciężkiej pracy i najgorszego życia, zniosły tyle, że gdyby rozkładać ciężar tego, wystarczyłoby często na dziesięciu normalnie silnych ludzi, a jednak jechały oto znowu, prawie w nieznanym, napewno nie na łatwe ży-



...„Irena z baranowickiego karceru należy do tych wielu tysięcy”

Po zawarciu układu polsko-sowieckiego (czytelnicy uśmiechają się pogardliwie — ja również), dziewczęta polskie ruszyły do wojska. Sprawa tego wojska stała się największym w życiu objawieniem, najtrudniejszym do zmierzenia szczęściem. Wszyscy którzyśmy w Rosji byli, pamiętamy stacje i drogi wagony i oczy, kiedy jechaliśmy jakże często po dziesięć czy dwanaście tysięcy kilometrów, na dusznych narach, pod ławkami, w poszarpanych fufajach i krasnoarmiejskich buciorach, spotkały nas uśmiechami Ireny. Zaczęły czynić na Syberji miłosierdzie. Na postojach walczyły o łaźnie, lekarstwa i bandaże. Z niczego gotowały zupę, wstrzykiwały na każdym kroku do broć słowa, dodawały niejednemu

cie uśmiechnięte i silne tą najtrudniej osiągalną siłą: charakterem.

...Nocami śnieg zasypywał polskie namioty. Po Tatiszczewach, Tockach, Langi-Julach, Ługowych, polskie Ireny przypięły orły do futrzanych czap i zabrały się do pracy. Poszły do szpitali i świetlic, do pralni i kuchni, do kancelarii i telefonów. Wszędzie — okazało się — mogły sprostać mężczyźnie, wszędzie pod wieloma względami były bardziej wytrzymałe niż wojsko; bo kiedy było bardzo źle, zimno, głodno, trudno, my zaciskaliśmy zęby i milczeliśmy, one uśmiechały się wtedy.

Wojska polskie zaczęły nękać choroby. Tyfus, krwawa dezynferja. Dziewczęta; ochotniczki Pomocniczej Służby Kobiet, zakasały rękawy i

taranem z serc i najprzedniejszego zapachu, stanęły aby obronić nas przed plagami. Ale i wtedy znajdowały dziewczęta czas na urządzanie przedstawień, pogadanek, Bóg wie czego. Można mądrze ująć się pod brodę i powiedzieć: "Ano, mic dziwnego panie, Młodość... Było to ich obowiązkiem..." Należy raczej zdać sobie sprawę z nienowej prawdy że Ireny okazały się z cudownej gliny, okazało się, że młode pokolenie polskich dziewcząt jest nietylko wytrzymałe fizycznie, ale że pokolenie to jakże jest silne wewnątrz.

Przyszedł radosny dzień wyjazdu z Rosji. Ireny w czasie podróży zajmowały się wszystkim co tylko należało do najcięższej pracy. Zajmowały się wydobywaniem jedzenia i przewoziły pod swoją opieką chorych. Po osiągnięciu wolnego brzegu Kaspijskiego morza Ireny natychmiast poszły do coraz to większych szpitali. Były to czasy gdy ludzie chorowali jakby na złość. Setki i tysiące, które trzymały się siłą woli w Rosji aby nie zachorować obłożnie, po przyjeździe do Iranu legły bez sił. Wtedy Irenki znowu rzuciły się im na ratunek. Same chodziły z trudem i niejedna mocno była poowijana bandażami ukrwającymi poszkorbutowe rany. Ale mimo ciężkiej pracy i niewesołych wspomnień z niedawnej przeszłości, dziewczęta szybko wracały do pełni sił i młodej ludzkiej bez-

troski. Cieszyły się wojskiem, słońcem, wolnością. Miały przecież po szesnoście, osemnaście, rzadko dwadzieścia lat.

W Iranie ochotniczki złożyły żołnierską przysięgę. Dzień kiedy stały wyprężone na baczność i podniosły ku niebu oczy ślubowały wierność Bogu, Polsce i skrwawionym naszym sztandarom — pozostanie w ich pamięciach po wszystkie dni. Zdarza się, że ochotniczki nasze utożsamiamy z podobnymi formacjami w innych armjach. Jest to mechaniczna bezmyślność. Nasze Ireny nie mają sobie w świecie podobnych. Przyszły one do wojska odbywszy przedtem kampanję cięższą od niejednej wojennej, przyszyły napółumarłe lecz promienne największym ludzkim szczęściem. Wytrzymały z Armją Polską wszystkie próby, ślubowały po żołniersku swia-

wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej, poszły przez bardzo trudne życie, nigdy nie załamały się, stały się żołnierzami Armji która dziś ruszyła na nowe pola bitew o wolność Wilna i Lwowa.

...Są czasem dni w pustyni, słoneczne i bezwietrzne, kiedy spojrzenie błędzi w zamyśleniu po niebieskości horyzontu. Pustynią jadą wozy. Dużo wozów. Prowadzą je właśnie Ireny. Jeśli stanąć u boku i popatrzeć na szybko mijające skupione twarze, odrazu przychodzi na myśl pewne wspomnienie lat kwitnących kasztanów w gimnazjalnych ogrodach, myślimy (prawda?) o białych sukienkach na które czekaliśmy z bijącymi sercami w srebrem księżycu przybrane wieczory. Były to pierwsze w życiu randki. Rozmawialiśmy z Irenami o przysiężności. Nie wiedzieliśmy, że wszystko



"Cieszyły się wojskiem, słońcem, wolnością"

W POPRZEDNIM 20 (72) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Nie jesteśmy sami; Kazimierz Wierzyński: Nie wszystko skończone; Stanisław Stroński: Wskrzesać Europę; Jan Lechoń: Anielicia; Aleksander Janta: Rosji; Herminja Naglerowa: Bread; Piotr P. Yolles: O Polsce w Kongresie Stanów Zjednoczonych; Dział Kobiety; Opinie i zdarzenia.

domo swoich celów i obowiązków.

Półtora roku pobytu na środkowym Wschodzie, polskie Ireny poświęciły intensywnej i wszechstronnej nauce.

Wśród deszczów i gorących wiatrów; pod palącym słońcem Iraku, Palestyny i Egiptu, dziewczęta nasze uczyły się prowadzić auta, uczyły się łączności, strzelania, biurowości, szpitalnictwa, pracowały po pustynnych świetlicach i kantynach, zawsze pamiętały, że okres ten jest okresem przygotowawczym, po którym wojsko polskie wyruszy na kontynent europejski, aby wziąć udział w ostatecznej walce o wolność świata.

Dużo trzeba mieć wewnętrznej siły aby zadaniu takiemu sprostać. Ireny wyrosły w Wilnach, Lwowach, na

ułoży się zupełnie inaczej. I one nie wiedziały. Burza wojenna lunęła nam w twarze straszną prawdą wojny. — Nam i im. I oto Ireny zamiast na uniwersytety czy zamąż, poszły na Sybir, a potem do Iraku, a teraz do Włoch.

Patrzą wychudzone italskie bambina w niebieskie oczy kantyniarek, siostr, telefonistek polskich. Patrzą i nie wiedzą że te polskie panienki nie przyjechały tu by oglądać ich krajozobrazy czy dzieła sztuki. Nie wiedzą bambiniatka że polskie Ireny dobrze spełniając swój żołnierski obowiązek, chcą jednak możliwie najszybciej powrócić do dalekiej ziemi, aby pod innym, jedynym na świecie słońcem i niebem, stać się znowu nie żołnierzami: Irenami.

MOGIŁY

Owasy, jęczmienie sumiaste
 chłopskie poletka, żytko liche...
 To było dwie mile za miastem,
 pod lasem sosnowym, cichym.

Był to niewielki pagórek,
 kilka sosen, gąszczem jęczmyny...
 Szczeniaki, śpiewaliśmy chórem:
 "Naprzód, strzelecka drużyno".

Drużniacy, siódmoklasiści,
 konspiracja (już byliśmy w kozie),
 śpiewaliśmy uroczysto
 o powstańczej kuli,
 o powstańczym powrozie.

To było przed tamtą wojną,
 piętnaście lat — to niewiele.
 A śpiewać nie było wolno:
 grób powstańców, a śpiewał "Strzelec".

Kradliśmy karabiny
 Niemcom w dziewięćset piętnastym.
 To było w cieniu
 Grochowskiej Olszyny,
 to się działo,
 w chmurach nad moim miastem.

A potem, a potem, a potem, —
 wiele lat, wiele krwi, wiele śmierci:
 pod Jastkowem leży pokotem
 połowa Czwartego Pułku
 z kulą w piersi.

A potem — wołyńskie Koszyszcze,
 groby, krzyże brzoźowe,
 wsie spalone, drewniane zgliszcza,
 lasy sosnowe...

Ja wiem, na skwerach w Warszawie
 groby wyrosły.
 W zburzonej Warszawie prawie
 nie widzą wiosny.

W krwawej Warszawie, w Warszawie pięknej,
 jeśli wystarczy siły,
 na trotuarze krwawym ukłęknię
 i ucałuję mogiły.

I wiem, że to będą mogiły te same,
 co pod Słupnem, pod Borowicami
 wiem, że można nas łamać,
 a nie można złamać,
 że wciąż jesteśmy ci sami.

Mogiły, mogiły, mogiły, —
 Miechów, i Jastków, i Narwik...
 I ciągle trzeba krwi,
 i ciągle trzeba siły,
 żeby wrócić do Wisły i Narwi.

NOWE POEZJE

Władysława Broniewskiego



TARGOWISKO

Płacz, moja Muzo piękna,
 pocieszycielko strapiionych!
 Oto mi serce pęka
 w dalekich i obcych stronach.

Mój pokój jak namiot się wzdyma
 gniewnym oddechem, serca łoskotem,
 a rozum każe: wytrzymać,
 a serce pyta: co potem?

Jak niewolnica naga,
 oto jesteśmy na targu,
 bicz historii nas smaga,
 słowo zamiera na wargach.

Możni pytają: "Ile?"
 stręczy historia — rajfurka,
 a przecież my — Termopile,
 huk dział i motorów furkot!

i przyjdą, i ziemię odmierzą
 zmartwychpowstałe wojska...
 Nie opuści cię, polski żołnierzu,
 tylko poezja polska.

A przecież to myśmy pierwsi,
 Winkelriedy pośród narodów,
 we własne zebrali piersi
 ostrza wrażego pochodu.

Wyją koło nas hijeny,
 wzmacza się gwar targowiska,
 ale nikt nie odgadnie ceny
 naszej krwi i naszego nazwiska.

Runą jedne potęgi,
 inne przytłoczą nam piersi,
 a my sięgniemy po Księgi,
 Które uczą życia i śmierci,

i z Switezi wyłonią się toni
 zatopieni rycerze i grody,
 i Dzwon zadzwoni,
 aby słyszały narody,

HOMO SAPIENS

Wśród mrocznych miast, po mrocznych schronach,
 jak stada wypędzonych szczurów,
 gromady ludzi przerażonych
 pełzają u strzaskanych murów;
 bezdomni, ślepi i wylekli,
 ruszają chyłkiem, znów przyklekli,
 złowrogo patrzą w niebo, szepcą,
 że głód, że śmierć, że — wszystko jedno,
 i przeklinają ziemię biedną,
 ruszają znów, po trupach deptają,
 znikają, mroczni i samotni...

Ja lecę ku nim, mściwy lotnik,
 i świecąc reflektorem serca,
 bombami słów złowieszczę zbrojny,
 ciskam je w zaciemnienie wojny,
 jak jeden z Czterech, co uśmierca.

A pierwszą bombę ciskam w Berlin!
 Za zbrodnię wojny, za pancerny
 raid przez Ojczyznę mojej piersi
 za drapieżniki nad Warszawą
 za rozwalony dom, za krwawą
 kałużę świata, co mnie mierzi,
 za pychę, podłość, mordy, gwałty,
 za poharabione słowo: człowiek —
 lecą me bomby w ich blackouty,
 niechaj im sen spędzają z powiek.

A druga bomba — w grób Smoleński!
 Niechaj rycerze zmartwychwstaną
 i świecąc każdy piersi raną,
 świadectwo dadzą krwi męczeńskiej,
 tej krwi niewinnej, z ręki kata
 przelanej w obcą ziemię czerstwą,
 ze zgrozą, lecz milczeniem świata,
 za wolność równość i braterstwo.

A trzecia bomba — w tych, co wierzą,
 że dość jest rozdać broń żołnierzom
 i poszczuć ludy, poszczuć armje, —
 wtedy się więcej złota zgarnie,
 by knuć nazajutrz nowe wojny,
 by kuć już dzisiaj nowe pęta,
 Biję w nich, gniewny i spokojny.
 Nie trzeba złota. Krew jest święta.

Zachowam jeszcze bombę jedną
 na czas, gdy blaski wojny zbledną,
 gdy bliski będzie już dzień kary
 za Wielkie Zaciemnienie sumień,
 gdy możni szukać będą miary
 wolności ludów... Gdy w ich tłumie
 nie będzie Polski, — wtenczas, pieśni
 aż w serce ziemi bij! Twe bomby
 niech jak Jerycha wrzasną trąby
 niech biją w ludzkość najboleśniej,
 niech do otchłani sumień dotrą,
 by na skrwawionej globu mapie
 stanął do walki przeciw łotrom
 dobry, spokojny — Homo Sapiens.

LEON KOSZNIICKI

SZTUKA MARYLI LEDNICKIEJ



Uroczystość ofiarowania rzeźby Maryli Lednickiej "Portret Skargi" Uniwersytetów Fordham. Od lewej: ambasador Ciechanowski, Maryla Lednicka, rektor Uniwersytetu Fordham, O. Gannon.

Ciągnące się od jeziora Como do Lago Maggiore wzgórza Varese, należą do najpiękniejszych zakątków na ziemi. Taine, w swojej "Podróży po Włoszech" wychwala jednocześnie łagodny klimat i piękno pejzażu o miękkich, pofalowanych linjach, mile pieszczących oko i usposabiających do medytacji.

Tam właśnie, w pięknej nowoczesnej willi Sant Ambrogio, nieopodal Varese, spotkałem pierwszy raz, u bardzo drogiego przyjaciół, lat temu chyba ze dwadzieścia — bardzo młodą kobietę o czystym profilu i kasztanowych włosach, podobną do słynnego portretu z Galerji Poldi-Pezzoli w Medjolanie, który uchodził w owych odległych czasach za portret Beatrice d'Este, przypisywany Leonardowi da Vinci. Od tamtej pory historycy sztuki różne poczynili poszukiwania i odkrycia i dziś wiadomo jest z całą pewnością, że portret ten nie jest dziełem Leonarda i że nie przedstawia on boskiej Beatrice.

Jest to portret nieznaney damy przez nieznanego malarza.

Dlaczegoż zawsze rzeczy dawne i

minione zwykliśmy wiązać ze wspomnieniami i twarzami współczesnych w naszej krótkiej egzystencji? Nie wiem, lecz dla mnie ów słynny portret zostanie nazawsze portretem Maryli Lednickiej w blasku jej wczesnej młodości.

Młodzianka kobieta, która z takim wdziękiem zstępowała ze wzgórz Varese, była Polką. To wystarczyło, żeby mnie oczarować. Powiedziano mi jeszcze, że jest rzeźbiarką, lecz nie przywiązywałem do tego większej wagi. Moje teorie o kobiecej twórczości artystycznej nie są zbyt pochlebne, powiedziałbym nawet niedość ujęte. Proszę mi wybaczyć ten brak galanterji. Nazbyt często dzieło kobiet — rzeźbiarek wydaje mi się jakgdyby rozpaczliwym usiłowaniem zastąpienia nieosiągniętego macierzyństwa.

I otóż któregoś dnia przyjaciele zabrali mnie, w Medjolanie, do pracowni Maryli Lednickiej.

Młoda kobieta ukończyła właśnie wielką statwę "Calendimaggio". Stojąca postać kobieca z oczami spuszczone, patrzącymi na ptaszka,

który siadł na jej ręku. Uderzył mnie odrazu wdzięk tej kompozycji, utajony rytm który wiązał muzycznie twarz modela z ręką, trzymającą ptaka. Podobała mi się czystość stylu, prostota linii i to że młoda artystka odnalazła, zapewne nieświadomie, antyczny temat "Chelidonisma", powitania wiosny...

Maryla Lednicka była uczennicą Bourdella. Stary mistrz nauczył ją z pewnością wielu "sposobów", procedury, techniki. Lecz w jego szkole nauczyła się również aby go nie naśladować, zaniechać ustawicznej wi-bracji konturów, uwielbienia ruchu, niestatyczności. I można prawie powiedzieć, że nasza uczennica Bourdell'a zwróciła się ku Maillol'owi. Wpływ ten widoczny jest w wykonanej w kilka lat potem granitowej statui, która dziś ozdabia fontannę w Medjolanie. W tej spoczywającej postaci, z twarzą nachyloną nad taflą wody, odnajdujemy jakgdyby echo "Hommage a Cezanne". Lecz echo to milknie gdy przyglądamy się głowie posągu. Splecione w węzeł włosy, ściągnięte oczy, trzy rozwarte kąty, utworzone przez linje brwi i nosa, nie mają nic wspólnego ze sztuką francuską. Głowa ta należy do plastyki słowiańskiej, której pokrewieństwa wyprowadzić się dają od rzeźb w ołtarzu krakowskim, aż do przestrzennych kompozycji Mestrovicza. Tę syntezę elementu francuskiego i słowiańskiego znaleźć można w silniejszym jeszcze stopniu i lepiej wyrażoną, w nowszej pracy Maryli Lednickiej: fontannie z brązu, przed samą wojną nabytej przez bohaterskiego prezydenta Warszawy, Starzyńskiego, dla ozdoby jednego ze skwerów w nowej dzielnicy miasta. Naga postać kobieca, z obiema rękami wyciągniętymi, żeby zebrać w nie krople deszczu, codzienny gest, nagle pełen hieratyczności, dzięki samemu stylowi posągu. Ten gest codzienny to nauka Francji, zaś styl hieratyczny wrodzony jest polskiej naturze artystki.

Akt kobiecy budową przypomina trochę nieliczne rzeźby Renoira. Lecz raz jeszcze podkreślam, że forma głowy i wyraz twarzy przynależą do Europy słowiańskiej i świadczą ponad wszelką wątpliwość o pochodzeniu narodowym tego dzieła.

Te elementy, które odnajdujemy już w pierwszych pracach artystki, rozwijają się następnie i wzbogacają w całej tej twórczości. Jest to natura polska, połączona z wrażliwością zachodnią, łaćwińska. Wrodzone poczucie stylu, utrwalonego gestu, które

przeistacza anegdotę i wydarzenie codzienne w coś co jest trwałe, niezmiennie, wieczne. Podróże, kolejny pobyt artystki w różnych krajach, wzbogacają i rozwijają jej talent. Lecz dojrzeła on i utrwala się dzięki głębokiej świadomości wewnętrznej.

Ta głęboka prawda rozświetla duszę artystki. Maryla Lednicka mieszkała kolejno w Paryżu i Medjolanie, w Londynie i Warszawie, zaznała najświetniejszego powodzenia, w Paryżu przyznano jej złoty medal, w Paryżu była członkiem jury na Salonie jesiennym, przeszła lata radości i lata smutku, żaloby i wygnania, nigdy wszelako nie opuściła jej głęboka wiara. W Europie panowała tendencja nazywania "malarzem katolickim" lub "pisarzem katolickim" każdego artysty czy pisarza, u którego temat religijny wpływał niejako z rutyny zawodu. Nasza artystka do nich nie należy. Przeciwnie, całe jej doświadczenie ludzkie wiąże się z wiarą i to dopiero pozwala jej tworzyć dzieła natchnione głęboką religijnością. I ta sama młoda kobieta, która kiedyś, we Włoszech, modelowała prawie pogańską alegorię wiosny, jest autorką kilku dzieł religijnych nie waham się twierdzić najbardziej wzruszających i najdoskonalszych w naszych czasach.

Wizerunek w kamieniu Świętego Antoniego Padewskiego, znajdujący się w kaplicy Peapeek, New Jersey, jest pełen nieopisanego wdzięku i tkiwości. Święty, w ekstazie, pochyla słodko swoje anielskie oblicze ku Boskiemu Dzieciątku. A dzieciątko podobne jest do wszystkich dzieci, jakie zrodził człowiek; uśmiechnięte "bambino", przytulone do lewego ramienia Thaumaturg'a.

Statua w drzewie Świętego Bernarda więcej ma powagi. Lecz ten sam nabożny zapach przebija z tego dzieła, które znajduje się na frontonie kaplicy, przy szkole św. Bernarda w Gladstone, N. J. Ręka artystki uwieczniła świętego jako wychowawcę, opiekuna dzieci. Mały chłopczyk stoi w cieniu wysokiej figury świętego, który lewą rękę położył mu na szyi, w prawej zaś, ponad głowę dziecka, unosi księgę. Od całej grupy promieniuje prostota ducha, którą niektórzy nazywają gotyką, ja zaś nie zawahałbym się nazwać donatellofską.

"Duch medytacji" rzeźba w drzewie w muzeum w Newark, New Jersey, wyobraża kontemplację wewnętrzną. Faktura jest tu bardziej prymitywna, mniej łacińska, i znów przychodzą mi na pamięć reliefy z krakowskiego ołtarza. Lecz surowość kompozycji jest tylko pozorna. Kryje się pod nią duch medytacji, kontemplacji zasad chrześcijaństwa. Jest to



*Święty Antoni Padewski
(rzeźba Maryli Lednickiej)*

surowość świętego Tomasza i Wielkiego Alberta.

Dzieła Maryli Lednickiej znajdują się w wielu muzeach Europy i Ameryki. Także na placach, na dziedzińcach i ogrodach. Bo dopiero przy bezpośrednim zetknięciu się z życiem którego jest sublimacją, dopiero stojąc na samej ziemi jak słynna grupa mieszczań Rodina — rzeźba wystawiona jest na właściwą próbę.

Nasza artystka zaznała zaszczytów uznania i w swym kraju rodzimym i zagranicą. I nie zapomina ona o tem, o czem każdy artysta, gozdzien tego miana, zawsze winien pamiętać: że najpiękniejszym dziełem Boga jest jego stworzenie, ze wszystkimi

ułomnościami i wielkością. Lednicka robi portrety z pasją. Nachyla się nad modelem, studjuje charakter jego twarzy i ten przelotny błysk, który jest odbiciem duszy. Jej rzeźby są "podobne", można je poznać. Styl, ów styl wrodzony przebija z tych popiersi tak samo jak z najbardziej śmiałych kompozycji.

Jej ostatnie dzieło jest jednocześnie portretem i uczuciem pamięci jednej z największych postaci religijnych: jest to portret kaznodziej Piotra Skargi, przeznaczony do Uniwersytetu Fordham w New Yorku.

Piękna rzeźba, wycięta w drzewie. Słynny jezuita polski przedstawiony jest w czasie kazania, z twarzą ascety, zwichrzonemi włosami, z krzyżem z jakim musieli go widzieć zwiastują cego kłękę, dworzanie Stefana Batoryego i Zygmunta IIIgo. W tem dziele płomiennem, porywającym, artystka zdołała utrzymać własny styl i w surowe ramy zamknąć uczucie, które nią owładnęło.

Dwadzieścia lat minęło od chwili, gdy Maryla Lednicka kończyła "Calendimaggio" w swojej medjolańskiej pracowni. Wszystkie posągi, jakie od tam stworzyła, świadczą chlubnie o jej talencie i o szlachetności życia, opartego na wierze, wierze w Stwórcę i w odkupienie człowieka. Tego człowieka, który z gliny powstał, i którego rzeźbiarz z pokorą w glinie odtwarza, natchnieniem swoim nadając mu iskrę boską, odbicie wieczności.

CAŁA POLONJA

NA

KONGRES

POLONJI

W BUFFALO

28 — 29 — 30

M A J A

FELICJA LILPOP-KRANCOWA

POTRZEBA RĄK DO PRACY

Jak każda niemal instytucja społeczna o tym charakterze, Polish Women's Relief Committee przeżywa kolejno okresy natężonego zainteresowania ze strony społeczeństwa polsko-amerykańskiego, to znów okresy impasu, w czasie których, zda się, ta prowadzona bez przerwy praca, podjęta w imię najszlachetniejszych pobudek i mimo wielu trudności, przestała kogokolwiek interesować. Nagle, niewiadomo skąd i niewiadomo dlaczego, rozchodzi się pogłoska, że w "Reliefie nic się nie robi". — Łatwiej w to uwierzyć, niż sprawdzić. A jeszcze łatwiej powtórzyć. I oto te same osoby, które rok temu znajdo-

Czerwonego Krzyża w Londynie, winne być wykorzystane jaknajśpieszniej. Jasne jest bowiem, że im prędzej Relief wykaże się sprawnym załatwieniem tego transportu, tem łatwiej liczyć może na jakiś dalszy przydział, który — acz nie wystarczający dla polepszenia warunków wszystkich jeńców — przecież znacznej ich części przynosi ulgę i pomaga do przetrzymania straszliwych warunków niewoli. Ciepła odzież, bielizna osobista, nocne pantofle, przybory toaletowe jak szczotki i proszek do zębów, mydło, żyłетки i maszyny do golenia, a nadewszystko życiodajne witaminy — to dar bezcenny dla

że im dalej, tam skwapliwiej będą oni z tego przywileju korzystać. — Tymczasem dzieje się odwrotnie: liczba wysyłanych przez rodziny paczek maleje proporcjonalnie, w miarę jak czas upływa. — A przecież dla nich, tam, każdy kolejny miesiąc trudniejszy jest do przeżycia od poprzedniego. Każdy niemal dzień.

W Reliefie dużo się robi. Lecz w Reliefie możnaby i trzeba robić więcej. W biurze Polish Women's Relief Committee (151 East 67 St. N. Y. C.) są ranki, w których poza stale pracującymi, nikt z ochotników nie przychodzi. A robota czeka: porządkowanie kartotek, klejenie tekturowych pudeł, roboty przygotowawcze do wieczornego pakowania. Są popołudnia, do 5ej., równie puste jak ranki, z tą samą, nie cierpiącą zwłoki robotą. Z wyjątkiem wtorków i piątków, w które te dni ochotniczki z Polonji Amerykańskiej przychodzą regularnie i bez przerwy aż od 1939go roku — są wieczory gdy zbiera się zamało osób, aby wszystkiemu podołać. — I znów robota czeka.

Gdyby zgłosiło się więcej rąk do pracy, możnaby mieć nadzieję, że po wyczerpaniu obecnego kontyngentu, uzyska się pozwolenie na następny.

Gdyby więcej serca, nie byłoby dziś jeńca, który nie otrzymywałby stąd listu, kartki, serdecznego słowa pociechy.

Gdyby więcej pamięci, żadna okazja przesłana paczki bratu czy synowi nie byłaby pominięta.

Relief "za mało robi". To naszej pracy, naszych rąk tam brak.

P. S. Polish Women's Relief Committee przystępuje do zbiórki polskich książek szkolnych i innych, oraz wszelkich książek o Polsce, pisanych w języku angielskim. Potrzebne są one: 1. dla dzieci polskich w Meksyku, 2. dla szpitali wojskowych amerykańskich, gdzie projektowane jest utworzenie polskiego działu w bibliotekach miejscowych. Obok łaskawie zaoferowanej współpracy firm wydawniczych i księgarń, jak "Roy-in exile" i Opaliński, najgoręcej powitana będzie wszelka inicjatywa prywatna, jakoteż dary pieniężne i w postaci książek.

JĘNCY PISZA...

... "jako mąż zaufania Polaków w szpitalu w Lingen, pozwałam sobie serdecznie podziękować Wam za pomoc, jaką otrzymują moi chorzy, zarówno jak i ja."

W.N. Stalag VI. K. 326.

... "kartka twoja przyniosła kilka serdecznych i dobrych słów z dalekich



Jeńcy polscy w jednym ze Stalagów

wały dwa, trzy wolne popołudnia w tygodniu, aby wypisywać kartki z adresami a wieczorami przychodziły zawiązać paczki — teraz nie znajdują ani chwili czasu, bo i niema po co, skoro "w Reliefie nic się nie robi".

W Reliefie "nic się nie robi". Piętrzące się pod sufit paczki sanitarne, o doskonale pomyślanej zawartości, wychodzą stąd za pośrednictwem Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, do naszych chorych jeńców, znajdujących się w szpitalach. Jeśli nie dzieje się to w tempie, które zwykliśmy określać "amerykańskim", to winy należy szukać w tem, że polskich rąk do pracy jest zamało. Przyznany na skutek specjalnych starań Zarządu kontyngent w ilości 7000 standardowych paczek sanitarnych, i materiału, zakupiony z pieniędzy Polskiego

chorych, od tyłu lat skazanych na samotność naszych braci.

Jakżeż cenią sobie oni nie tylko ów namacalny dowód pamięci, ale każde słowo pociechy, które do nich dociera. Jak wyczekują — jeżeli już nie paczek — to listów od dalekich a bliższych rodaków.

System wysyłania indywidualnych paczek żywnościowych, istniejący przez pierwsze lata wojny, uległ modyfikacji już rok temu i obecnie Amerykański Czerwony Krzyż obdziela wszystkich po równo; na każdego polskiego jeńca wypada po jednej paczce miesięcznie. Wszelako każda reguła ma swoje wyjątki i na podstawie legitymacji, stwierdzającej stopień pokrewieństwa, najbliższa rodzina jeńca ma prawo wysyłania mu paczek indywidualnych. Zdawałoby się,

stron, które wywołały żywy oddźwięk w mej duszy. Często myślami jesteście u was i na was liczymy. Cieszy nas wasza postawa, o której zawsze możemy coś w miejscowej prasie między wierszami wyczytać. I my spodziewamy się rychłego końca wojny, wolności."

Z. G. Oflag VI B.

... "istotnie otrzymujemy od was po jednej paczce miesięcznie, bardzo dobrze i mądrze pomyślane. Jeżeli

możesz, uczynić wzmiankę do Genewy, że mundur mój w stanie mocno sfatygowanym."

J. G. Oflag 11 D.

... "korespondowanie sprawia nam tyle radości i umiła ciężkie i szare życie jeńca... Żyjemy pełni ufności, że niewola nasza niedługo się skończy i wrócimy do swoich, gdzie was z radością oczekiwać będziemy..."

R. P. Stalag VI F.

... "pierwszy twój list rozrzewnił

mnie, bo widzisz, gdy się pomyśli iż gdzieś daleko za oceanem są rodaczki, które starają się nam pomóc i uprzyjemnić pobyt tutaj, to naprawdę jest czego rozrzewnić się i cieszyć zarazem."

E. C. Stalag VII A.

... "czyście otrzymali ode mnie te listy, co ja do was pisałem, bo ja od was tylko otrzymałem dwie kartki, a ja to na każdą kartkę odpisuję ilości potrójne."

J. T. Stalag VI G.

KAMIL DZIEWANOWSKI

L W Ó W — S A O P A U L O

Dziwnie brzmi lwowski akcent w ustach oficera noszącego mundur brazylijski, spotkanego na terenie Washingtonu.

Porucznik Ludwik Rydygier jest oficerem lotnictwa brazylijskiego, przebywającym w Stanach Zjednoczonych na przeszkoleniu, wraz z paru tysiącami swych kolegów.

Dzieje rodziny Rydygierów, to jedna z tych dziwnych historii rozproszenia polskiego po wszystkich krańcach świata. Dziad jego był swego czasu Profesorem wydziału medycznego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, Ojciec docentem chirurgii tegoż uniwersytetu, a z Polski wyemigrował w roku 1922 do Brazylii by objąć katedrę na uniwersytecie w Sao Paulo. Porucznik Rydygier, urodzony już na ziemi Brazylijskiej, przed wstąpieniem do lotnictwa był studentem medycyny, obie zaś jego siostry są już skończonymi lekarkami.

Trzecie pokolenie lekarzy! Zdumiewająca to w rodzinach polskich konsekwencja w wyborze zawodu....

W Stanach na każdym kroku spotkam żołnierzy z którymi po dogadaniu się kim jesteśmy zaczynamy mówić po polsku. Na stacji na której byłem na treningu było ich pełno. Okazywali mi wiele przyjaźni i pomocy. Byliśmy jak członkowie dużej rodziny rozsiani po świecie, którzy spotkawszy się chcą sobie wynagrodzić okres długiej rozłąki.

Co parę miesięcy odchodzą nowe transporty ochotników, z których wielu walczy już bądź to we Włoszech, bądź też w lotnictwie i marynarce, reszta zaś przygotowuje się usilnie do zbliżającej się chwili ataku na fortecę europejską Hitlera.

Nastroje antyniemieckie — mówią Porucznik Rydygier — są bardzo silne w społeczeństwie Brazylijskiem. Poza elementami pochodzenia niemieckiego, ujętymi od pamiętnych wypadków z sierpnia 1942 roku, to jest od przystąpienia Brazylii do wojny w żelazne karby, cały naród, z

odłamem polskiego pochodzenia na czele, zdecydowane jest rzucić na szalę wojny wszystkie swe zasoby, aby raz na zawsze wyeliminować groźbę wojny, jaka wisi nad światem na skutek istnienia militarно - gospodarczej potęgi Rzeszy.

— A jakie są nastroje wobec Rosji?

— Rosja jest dla Brazylijczyków odległym, egzotycznym kontynentem, kolosem — niedźwiedziem, przed którym panuje podświadoma instynktowna obawa. Popularna jest u nas anegdota o tym przyjacielu — niedźwiedziu — "Amigo urso" — który nawet gdy chce uściskać to i tak kości połamie.

— Po wojnie — powiada swym śpiewnym kresowym akcentem Porucznik Rydygier — gdy skończę studia, chciałbym przyjechać do Europy aby zobaczyć Polskę, stary kraj, którego dotychczas nie miałem sposobności poznać.

— A więc — żegnamy się mocnym uściskiem ręki — szczęść Boże, do zobaczenia po wojnie we Lwowie.

ŚWIEŻY "MAKE-UP" NA WIOSNĘ I LATO...

Nowe kolory wiosenne, a szczególnie tak modne obecnie kolor szary, wymaga przybrania twarzy w świeży, — promienny "Make-up".

Kosmetyki Heleny Rubinstein dadzą czar i naturalnego piękna każdej twarzy kobiecej.



TOWN AND COUNTRY MAKE-UP FILM —

dla dodania gładkiej promienistej świeżości oraz jako środek zapobiegawczy przeciw suchości cery — Cena \$1.00

TOWN AND COUNTRY FILMPACT —

Popularny podkład pod puder, który spowija twarz Pani w matowy woal.

W specjalnych formułach dla cery suchej i tłustej — .75c

Dla uzupełnienia Make-Up o naturalnych odcieniach:

Puder Peachbloom, maurespue — \$1.00

Lipstick w naturalnych soczystych kolorach — \$1.00

Do nabycia w lepszych składach aptecznych i departamentowych lub osobiście, listownie wprost od firmy

HELENA RUBINSTEIN
715 Fifth Avenue, New York, 22, N. Y.

O P I N I E I Z D A R Z E N I A



Kazimierz Dziedziuch w czasie uroczystości na jego cześć w Chicago.

KAZIMIERZ DZIEDZIOCH

Piękne uroczystości odbyte w Chicago święciły bohaterstwo Kazimierza Dziedziucha, który jako szesnastoletni chłopiec odznaczył się szczególnym męstwem i stracił stopę w bitwie pod Narwikiem. Za swoje czyny bojowe Dziedziuch został udekorowany przez Generała Sikorskiego krzyżem "Virtuti Militari", później zaś otrzymał wysokie wojskowe odznaczenie norweskie. Zwolniony jako inwalida z wojska Dziedziuch znalazł w Chicago znacznych opiekunów, prawdziwych drugich rodziców, którzy zajęli się jego dalszym wykształceniem. W tej chwili Dziedziuch kończy doskonale studia w Kolegium Związko-

JULJA DICKSTEIN-WIELEZYŃSKA

Na liście zmarłych ostatnio w Warszawie intelektualistów polskich znajdujemy nazwisko Julji Dickstein-Wieleżyńskiej, znanej i zasłużonej literatki, której przekłady z literatury włoskiej i liczne na ten temat studia stanowią cenną pozycję kulturalną. Zmarła była córką znakomitego matematyka prof. Samuela Dicksteina; w początkach swej kariery literackiej pisała wiersze pełne dbałości o formę i nastrojone na wysoki ton idealistyczny.

90 SEKUND WYSTARCZY!

Jedno z podziemnych pism polskich podaje jak z wyroku Sądu tajnego Rzeczypospolitej zginął niedawno w Warszawie jeden z najkrwawszych zbirów niemieckich, zastępca komendanta więzienia na Pawiaku.

"S. S. Oberscharfuhrer Franz Buerckl bardzo ceni życie. Nigdy nie przebywa pieszo odległości większej, niż droga z jego mieszkania do biur Gestapo w Alei Szucha. Na Pawiak zawsze jeździ w samochodzie, w cywilnym ubraniu. Dlatego w Warszawie prawie nikt go nie zna, prócz więźniów z Pawiaka. Ale oni znają go dobrze. I jego szpicrutę i potężną pięść podczas apelów i "rozmówek specjalnych". Znają i pamiętają jego zwierzęce ślepią w obrzękłej twarzy podczas egzekucji masowych na dziedzińcu więziennym. Kat z powołania.. musi zginąć.

Ciężkie zadanie. Wyrok można wykonać tylko na krótkiej przestrzeni parusymetrowej zaledwie drogi, rojącej się stale od wojska, żandarmerii, policji i tajnych agentów. A jednak wyrok musi być wykonany właśnie tu — u zbiegu ulic Litewskiej, Oleandrów i Marszałkowskiej.

W oznaczonym dniu, o 9.50 rano patrol bojowy zajmuje stanowisko. U

wylotu ulicy Oleandrów, koło przystanku tramwajowego rozmawia z ożywieniem dwóch panów. Koło przystanku na rogu Litewskiej inny stoi tuż koło grupy trzech żandarmerii i trzech policjantów, czekających na tramwaj. O parę kroków dalej, w bramie znów inny. Na drugim rogu Litewskiej młody melancholijny muzyk ze skrzypcami pod pachą patrzy na stojący przy chodniku samochód.

Właśnie Buerckl wyszedł z mieszkania. Bojowcy dowiadują się o tem natychmiast.

Dowódca patrolu już ma dać znak. Ale... na rogu Alei Piłsudskiego, którą prowadzi przewidziany szlak odwrotu, przystaje lotny patrol motocyklowy policji "Schupo". Od Placu Unii Lubelskiej nadjeżdżają tramwaje pełne zielonych niemieckich mundurów. Szanse powodzenia na pozór minimalne. Ale wyrok wykonany być musi.

Dowódca patrolu schodzi za Buercklem z chodnika. Pan z przystanku wymija grupę "zielonych" i przeszedłszy przez wylot Litewskiej przepuszcza przed sobą powoli idącego Niemca.

Siedem strażów z dwóch pistoletów. Siedem kul w szerokie plecy. Wedle rozkazu! Na ulicy zamęt. — Tramwaj zatrzymuje się z piskiem i zgrzytem hamulców. Trzask wystrzałów. Pierwsi zaczęli strzelać policjanci z przystanku. Tych — jedną serią z maszynowego pistoletu rozpedził dowódca polskiej grupy bojowej. Lotny patrol motocyklowy policji bije gęsto, lecz niecelnie. Teraz dopiero melancholijny skrzypek z flegmą zaczyna swój popis: odrzuca skrzypce i wali z pistoletu maszynowego do motocyklistów. Tamci znikają za węglem. Buerckl dla pewności dostaje jeszcze jedną kulę. Strzelanina coraz większa. "Skrzypek" granatem ręcznym likwiduje grupę Niemców, ukrytą za tylną platformą tramwaju. Popłoch. Ogień niemiecki słabnie..

Zadanie spełnione. Patrol pośpiesznie zapełnia auto. Samochód zrywa się na pierwszym biegu i szerokim łukiem skręca w Aleję Piłsudskiego, prosto w grad kul. Sześciu Schupo wali w szeroki, ale szybki cel. Ale auto z wyciem silnika znika Niemcom z pola widzenia.

Ani jeden żołnierz z patrolu bojowego nie został ranny. Niemców, jeśli nie zabitych to rannych musiało być kilkunastu.

Wyrok Rzeczypospolitej na kacie z Pawiaka — wykonano. Trwało to wszystko 90 sekund.

BRYTYJSKIE UCZELNIE NIOSĄ POMOC NAUCE POLSKIEJ

Na Uniwersytecie w Oxford, w najstarszej wszechniczy Anglii, uruchomiony zostaje Polski Wydział Prawa.

Nowa polska uczelnia wyższa w Wielkiej Brytanii posiada niewątpliwie wielkie znaczenie nie tylko dla nauki polskiej, dla której wojna obojętna okazała się szczególnie srogą, lecz dla całego narodu. W Kraju, pod brutalną władzą okupacji, Niemcy zniszczyli całkowicie polskie życie naukowe. Uczelnie zamknięte, bezcenne mienie uniwersyteckich pracowni i bibliotek uległo zniszczeniu, bądź zostało zrabowane przez "Kulturtraegów". Szeregi profesorów przeredzono zyską do obozów koncentracyjnych albo skazano na powolną śmierć głodową. Żniwo śmierci jest też wśród naszych uczonych w Kraju zastraszające. Młodzież — pozbawiona możliwości nauki i rozproszona marnuje czas i zdolności.

Na terenie Wielkiej Brytanii od radza się jednak częściowo nasze życie naukowe.

W pierwszym roku brytyjskiej gościny — powstaje polski autonomiczny Wydział Lekarski przy Uniwersytecie w Edynburghu. W ślad za nim rodzi się po pewnym czasie Polska Szkoła Architektury przy Uniwersytecie w Liverpool.

Pomoc uniwersytetów brytyjskich dla nauki polskiej bynajmniej się do tego nie ogranicza.

Istniejący jeszcze przed wojną lektorat polski w Birmingham — utrzymuje "kolegę" w szkockim mieście Glasgow.

Jesienią 1943 roku przeprowadzona zostaje inauguracja polskiej katedry historii i literatury na starym uniwersytecie St. Andrews, będącym seniorem uczelni szkockich.

Uniwersytet w Cambridge okazuje wielką pomoc we wszelkich poczynaniach, zmierzających do pogłębienia znajomości języka angielskiego wśród żołnierzy oddziałów polskich, stacjonowanych w Wielkiej Brytanii. Pod egidą tego Uniwersytetu urządzone są specjalne egzaminy z języka angielskiego.

Sześć największych uniwersytetów brytyjskich służy systematycznie pomocą nauce polskiej, niszczonej w Kraju przez okupanta.

Ponadto na wszystkich niemal wyższych uczelniach Wielkiej Brytanii pracują naukowo studenci polscy, uzyskując doskonałe wyniki. Studenci ci, to w przeważającej większości żołnierze Polskich Sił Zbrojnych, odkomenderowani na studia, którzy uważają za swój obowiązek przywieźć



Sławny as naszego lotnictwa mjr. Urbanowicz w chwili dekorowania go orderem amerykańskim.

do Kraju, nie tylko doświadczenia wojenne, ale i solidne, naukowe przygotowanie do zadań powojennej odbudowy.

RUINA TEATRU POLSKIEGO

Niemcy w Polsce tępią wszelkie przejawy kultury. W tej walce, wydanej kulturze polskiej, nie szczędzą i teatrów. Wszystkie teatry polskie zostały zamknięte, wystawianie sztuk polskich jest surowo wzbronione. — Istnieją tylko urządzone przez Niemców i Volksdeutschów teatryki i rewje w języku polskim o programach nie tyle lekkich, co wręcz pornograficznych. Ich celem jest demoralizacja młodzieży.

Społeczeństwo polskie nie popiera takich objawów "kultury niemieckiej". Zdarza się także, że Polacy żądają zamknięcia tych teatryków. Tak np. po śmierci gen. Sikorskiego ruch podziemny zarządził dwutygodniową żałobę. Dyrektorom bud rozrywkowych przesłano rozkaz przerwania wszelkich widowisk, a w wypadku gdyby go nie usłuchali — zagrożono wyrokami śmierci. Niektórzy usłuchali, inni udali się do Gestapo z prośbą o opiekę. Ale Gestapo odpowiedziało, że jest bezsilne i nikomu nie może zapewnić ochrony przed zamachami. Więc ostatecznie wszelkie przedstawienia zawieszono na okres dwu tygodni. Polski front podziemny wykazał swą siłę.

Jakim elementem postępującej Niemcy w akcji deprawowania ludności Warszawy, świadczą coraz częstsze aresztowania "pionierów" tak zwanego "życia teatralnego". I tak niemiecka policja kryminalna aresztowała niejakiego Adolfa Horwatha,

dyrektora pewnej rewji, za kradzież i nadużycia kryminalne. Inny dyrektor, Vogel, został aresztowany za zakładanie domów publicznych. Władze niemieckie uważają, że domy publiczne są wyłącznym ich monopolem a Volksdeutsch Vogel robił konkurencję...

Stwierdzić można z dumą, że aktorzy polscy nie załamali się i nie poszli na żadną współpracę z Niemcami, choć grozi to nędzą i prześladowaniem. Nie występują oni w teatrykach, stworzonych przez Niemców a mających demoralizować społeczeństwo polskie.

Niema więc dziś w Starym Kraju prawdziwej sceny polskiej. I nie będzie tak długo, jak długo Niemcy nie będą z Polski wypędzeni.

KUPUJCIE
Z N A C Z K I
i
B O N D Y
W O J E N N E
NEW WARSAW
BAKERY CO., INC.

585 MANHATTAN AVENUE

BROOKLYN, N. Y.

Tel. EV. 8-9089

ŁUDZIE, KTÓRZY UMIERAJĄ "PRZEDWCZEŚNIE"

Poszczególne numery urzędowego organu Generalnego Gubernatorstwa "Amtlicher Anzeiger" dają nam obszerny materiał informacyjny na temat smutnego losu wysokich dygnitarzy niemieckich w Polsce. Znajdujemy w nich długie listy nazwisk Niemców, którzy "padli na posterunku w służbie Fuehrera i Rzeszy". Jeden z numerów, z datą z dnia 12go stycznia b. r., zawiera aż 129 takich nazwisk.

Mógłby się ktoś zastanawiać, jaki jest cel umieszczenia w piśmie urzędowym nazwisk ludzi zabitych w Generalnym Gubernatorstwie, skoro w tym samym czasie setki tysięcy Niemców ginie na froncie wschodnim, we Włoszech i w samej Rzeszy. Ale powód zrozumiemy wtedy, gdy oprócz nazwisk przeczytamy stopnie i tytuły w hierarchji władz okupacyjnych poszczególnych "ofiar". Oto okazuje się, że od kul polskich tylko w wyjątkowych wypadkach giną ludzie zajmujący podrzędne stanowiska. Ręka mścicieli dosięga prawie zawsze wyższych dygnitarzy administracji cywilnej i policji. Do tej chwili około tysiąc Niemców padło z rąk żołnierzy Polski Podziemnej, przyczem z administracji cywilnej ginęli komisarze, burmistrzowie, kierownicy urzędów pracy, a z policji i Gestapo — niemal wyłącznie oficerowie.

Jest to dowodem, że sądy Polski Podziemnej karzą inspiratorów i organizatorów zbrodni, a nie wykonawców.

W egzemplarzu wspomnianego piśma z dnia 26 lutego br. znajduje się nekrolog wicekomendanta "Bahnschutzpolizei" Wilhelma Weissera. Przed wymienieniem różnych zasług i niezliczonych orderów zabitego, tuż pod nazwiskiem napisano: "Zmarł przedwcześnie od zbrodniczej kuli". Użyto słowa "vorzeitig", które ma jedno tylko znaczenie: przedwcześnie! Niemcy posiadają widocznie wysokie poczucie realizmu. Wiedzą, że wielu z nich w Polsce zginąć musi jeszcze "od zbrodniczej kuli". Opłakują tych tylko, którzy giną... przedwcześnie.

KONKURS LITERACKI

Polski Klub Artystyczny w Chicago rozpisal czwarty konkurs literacki na nowelę w języku angielskim. Temat: Polonja w Stanach Zjednoczonych Am. Płn. lub innych krajach. Poszczególne należy zwracać się do p. Klary Grębowskiej, 2512 N. Southport Ave., Chicago, Ill., załączając znaczek pocztowy na odpowiedź. Autor najlepszej pracy otrzyma nagrodę w wysokości 50 dol., zatrzymuje przytem wszelkie prawa autorskie.



Z terenów walk naszej armji we Włoszech.

KONCERT POLSKI W CARNEGIE HALL

"Tygodnik Polski" nie dał sprawozdania z odbytego w dniu 4go maja koncertu muzyki polskiej w Carnegie Hall, ponieważ obaj doskonali muzycy, którzy piszą zwykle dla "Tygodnika" sprawozdania muzyczne — Zygmunt Stojowski i Feliks Łabuński byli najczynniejszymi organizatorami tego koncertu, jak również znajdowali się na tym koncercie niejako na cenzurowanem — gdyż ich utwory były wykonywane.

Rozumiejąc powody dla których nasi doskonali współpracownicy nie chcą pisać o tej pięknej manifestacji — pragniemy przecież nie w krytycznej i fachowej ale w czysto dziennikarskiej wzmiance zanotować doskonałą organizację i rzetelny sukces tej imprezy. Organizacji — to jedynie możnaby zarzucić, że nie pomyślano o zapewnienie sobie sprawozdań w prasie, sukces był natomiast zupełny i sala przepelniona.

Z utworów Stojowskiego i Łabuńskiego, przedstawiających doskonale

dwie epoki, dwa style naszej muzyki, Fitelberg i orkiestra filharmoniczna wydobyli wszystko co w nich było indywidualnością, całą ich odrębność, wszystkie kolory orkiestracji, jak też całą poezję, młoda i nie sentymentalna ale pełną najzdrowszego romantyzmu — z boskiego koncertu Chopina, w którym Małcużyński jest tak zawsze oklaskiwany. Wiemy oddawna — że wykonanie Szymanowskiego jest to zawsze najświetniejszy popis specjalności i niemal wyłączności Fitelberga; ostatni koncert nowojorski znakomicie to nasze przekonanie potwierdził. "Harnasie" brzmiały jak prawdziwy hymn mocy, hymn pełen prymitywnej pasji i największej nowoczesnej sztuki, jak największego natchnienia pieśń nietylko o naszej ziemi, ale o naszym narodzie, oddająca jego najrdzenniejszy instykt — nie było rytmu, nuty, któraby była w tej interpretacji zamazana lub niejasna, niepoddana genialnemu zrozumieniu i kapelmistrzowskiej koncepcji dzieła. Był to tryumf kapelmistrza i dzięki niemu tryumf twórcy i apoteoza polskiej sztuki. Koncert skrzypcowy Szymanowskiego, w którym Paweł Kochański wypowiedział się tak idealnie — stał się też "koncertem nad koncertami" Hubermana i Fitelberga, powalając nam zmierzyć całą wielkość Szymanowskiego, który tak różny w różnych etapach swej ewolucji zawsze był sobą, zawsze dawał najwyższy wyraz swego geniuszu. I "Harnasie" i "Koncert Skrzypcowy" w tem właśnie wykonaniu powinny być koniecznie nagrane na dyski; to jedyny sposób aby przekazać ich idealną interpretację i nauczyć jej tych, którzy nie mogą słyść Fitelberga.

NASTĘPNY NUMER

"TYGODNIKA POLSKIEGO"

poświęcony będzie

POLONJI

AMERYKAŃSKIEJ